

Lutz Seiler

Terytorium znuzenia

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (112), 263-271

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Próby

Lutz SEILER

Terytorium znużenia

|

Obie wioski we wschodniej Turyngii, w których wzrastałem, nazywano potocznie z n u ż o n y m i. Tamtejsi mieszkańcy, mówiono, sprawiają wrażenie flegmatycznych, ospałych, a i sami skarżą się na nieustanne znużenie i dziwią się własnym letargiem. Ciężar jakiś wisiał nad rzeczami, nad naszymi pozornie bez końca następującymi po sobie dniami, w podwórzu, w ogrodzie, w labiryncie przyległych budynków gospodarczych, należących do na pół martwego po kolektywizacji majątku. Duża czworoboczna zagroda z paszarniami, pralnią, garażami, stajniami i stodołami na siano, gdzie stały nieużywane furmanki, obok nich pięciometrowej wysokości młocarnia, wydająca z siebie szatańskie odgłosy i pobudzająca moją wyobraźnię, jakby to mnie przywoływała w głąb gardzieli i trawiła. Wszędzie doły na gnojówkę lub wodę, do których, będąc dzieckiem – już choćby wskutek mnóstwa przestróg udzielanych na serio – z łatwością wpadałem.

Było coś w powietrzu tych wsi – tak jakby huśtawka na drzewie lub furtka za domem, gdy otwierało się ją na pola, jedynie z trudem to powietrze przecinały. W centrum tego czasu, pośrodku ogrodu stała – otoczona wybujałymi pierścieniami moich snów na jawie – chata, po turyngsku *Bude* – szopa zbita własnoręcznie z pozbieranych gdzieś desek, papy dachowej i z jakiś dwóch funtów żelaza w postaci gwoździ. To była moja baza, najdalej wysunięta forpoczta mojej wymyślonej, ciężko wywalczonej małej ojczyzny, daleko w głębi stepu; czasem bywała to już p u s t y n i a. Tam przesiadywałem, śniąc śniłem mój ulubiony sen: atak dobrze uzbrojonych, przeważających sił obcych, potem moja heroiczna bitwa obronna, w końcu kontrataki. Przeważnie dowodziłem kilkoma armiami konnymi naraz. Za niektórymi z nich ciągnęły małe, przejmujące grozą wozy z siedzącymi na nich

Próby

mężczyznami, którzy stracili nogi w walce i teraz strzelali wokół siebie karabinami maszynowymi. Mówiono, że to oni byli najgroźniejszymi, najzacieklejszymi bojownikami... Nie wiem już, skąd wzięta się ta historia, prawdopodobnie ze szkoły, być może z opowiadania w podręczniku z ilustracją Armii Konnej Budionnego. Wtedy zastanawiało mnie przede wszystkim, dlaczego bohaterowie musieli nosić takie śmieszne kopułkowate czapki z długimi, zwisającymi nausznikami i szpicem na głowie. Gdy step cichł, pomnażałem swoje skarby, chowałem w kryjówekach zapasy lemoniady, która psuła się już po trzech dniach, i naśladowałem sztuczki Daniela Boona lub Bruce'a Lee.

Osobliwe góry ograniczały świat znużonych wsi i wyznaczały horyzont mojego dzieciństwa: hałdy nadkładu i zbiorniki osadowe, pod nimi rudy – uran. Kiedy w roku 1945 amerykańskie władze okupacyjne wycofywały się z Turyngii – w zamian za co podzielono Berlin na cztery sektory, coś przy tym przeoczyły – blendę smolistą. Czarna i lśniąca niczym smółka noworodka spoczywał w ziemi jej najcenniejszy naturalny składnik – kryptokrystaliczna skała uranowa. Zachodni alianci dziwnym trafem zapomnieli o istnieniu wschodnioniemieckich złóż. Jimmy Byrnes, ówczesny amerykański minister spraw zagranicznych, oświadczył, że Związek Radziecki nie może produkować bomb atomowych, ponieważ w Rosji nie ma nadających się do zagospodarowania pokładów uranu. Po wycofaniu się Amerykanów, jeszcze w roku 1945 rosyjscy geolodzy zbadali wschodnioniemieckie złoża rudy uranowej. Rok później jedyna komunistyczna spółka akcyjna na niemieckiej ziemi, „Sowjetisch-Deutsche AG Wismut” [Radziecko-Niemiecka SA Bizmut] zaczęła wydobywać z ziemi rozszczepialny materiał do produkcji rosyjskich bomb atomowych. Amerykański monopol na bombę atomową został przełamany.

A przecież tam, gdzie teraz wznoszą się ogrodzone drutem kolczastym tereny poodkrywkowe, już w XVII wieku chętnie przebywano w dziwnie przyjemnych, niezrozumiale relaksujących cud-zdrojach – przyjeżdżali do nich liczni kuracjusze, a książę Fryderyk III von Sachsen-Gotha kurował tu swój gościec. Potem, co prawda dopiero 300 lat później, odkryto urok tych źródeł – ich radioaktywność. Atrakcyjność kurortu nie poniosła jednak uszczerbku, wręcz przeciwnie. Uzdrowiska ze źródłami radowymi wyrastały jak grzyby po deszczu, sprzedawano mydło radowe, a na etykietkach butelek wody stołowej, pochodzącej z państwowych źródeł mineralnych Bad Ronneburg, profesor Schiffner z Akademii Górniczej gwarantował „radioaktywność i analizę”. W źródle im. Feldmarszałka Hindenburga, zawierającym najaktywniejszą wodę na ziemi, mierzono radioaktywność o sile 13.500 jednostek Machego. Jednostka Machego odpowiada 13,5 bekerelom i podaje stężenie radonu w litrze wody.

Mój pradziadek, Edwin König, był ostatnim rolnikiem uprawiającym w spokoju pola Ronneburga. Na wysokości dzisiejszego zjazdu z autostrady, oznaczonego numerem 59, i tam, gdzie rozpościerają się tereny przemysłowe „Korbwiesen”, on, przybierając pozę dziedzica, wyjeżdżał konno w niedziele do Bad Ronneburga na „spotkania jeździeckie” czy próby „kółka śpiewaczego” lub tylko po to, by

w uzdrowisku wypić piwo. W wieku XX kończy się, jak wiele innych rzeczy, również piękna historia o balsamicznym działaniu derywatów uranowych. Po pierwszej wojnie światowej Bad Ronneburg staje się znów Ronneburgiem, a po drugiej – „Kopalnią Ronneburg” z widocznymi już z daleka stożkowymi hałdami. Hałdy uranu, unos popielatego pyłu, słaby porost brzoź u stóp tych gór tworzyły horyzont mojego dzieciństwa tak, jak być może u innych pobliski masyw alpejski lub linia okapów przebiegająca wzdłuż szeregu domów po przeciwległej stronie ulicy. Gdy huśtałem się na furcie, otwieranej za domem hen na pola, ich horyzont wstępował w moje sny.

Górnicy zatrudnieni w prowincji uranu pracowali na trzy zmiany, ale za to mieli wysokie płace, krótsze terminy oczekiwania na samochody i miesięczny przydział czterech butelek wódki bez akcyzy. Za jedną markę i siedemnaście fenigów wydawano 0,7 litra zakładowej gorzałki zwanej „śmiercią dla górnika”. Właśnie – górnicy mieli makabryczne, wynikające z mieszaniny wiedzy i niewiedzy poczucie humoru. Kiedy dziadek rano wracał z kopalni do domu, siedzieliśmy jeszcze w kuchni przy radiu. Podchodził do nas i zaczynał wywijać ręką nad drewnianą skrzynką odbiornika. W tej samej chwili muzyka grzęzła w pozaziemskich trzaskach i szumach. Wystarczyło, że cofnął rękę znad skrzynki, a widmo zniknęło i stacja *Bayerischer Rundfunk* wracała. My byliśmy pod wrażeniem, a on się śmiał. Pamiętam też przygnębiające uczucie, jakiego doznawałem w obliczu tych niewidzialnych sił, gdy dziadek dobrotliwie kładł mi rękę na głowie.

Nieobecność, znużenie i ciężkość odcisnęły się piętnem na czasie mojego dzieciństwa. Stany, w jakich w dzieciństwie dokonywało się postrzeganie, stany, oddziałują później jak pokrewne media, dzięki którym, jak nam się wydaje, najbardziej bezpośrednio odbieramy świat. I dlatego, można powiedzieć, już od chwili stawiania pierwszych kroków rodzą się z nich teksty literackie, poetologiczne aksjomaty. Strony rodzinne jako sposób chodzenia, także w wersie: „każdy wiersz schodzi powoli z góry na dół...” do surowców, do rud, do kości ziemi, jak je nazywa dawna mitologia górnicza. Pokłady, niewidoczne, skryte w głębinach pokłady, wyrzucane i wypompowywane rosły na naszych oczach w postaci nadkładu, tworząc pejzaż hałd. „Świat od Antarktydy aż po Rudawy ogarnięty obsesją czarodziejskiej różdżki: uran, blenda smolista, izotop 235! Głęboko sięgająca nerwica!?” *Ptolemäer* [Ptolemeusz] Gottfrieda Benna powstał w 1947 roku, niemieckie kopalnie uranu wydobyły właśnie z ziemi pierwsze z ostatecznie uzyskanych 220 000 ton uranu. We wschodnich Niemczech pozostało 500 milionów ton odpadów radioaktywnych. Jednak widok tych hałd nie powodował u nas ani obsesji, ani z nerwicy. Tylko nocami, kiedy przykładało się ucho do łóżka, człowiek miał wrażenie, że słyszy coś, co pod nim chodzi. Coś, co musiał słyszeć Woyzeck, kiedy tupiąc w ziemię, mówił: „Wszystko tam w dole wydrążone”. Słyszałem to zdanie często, gdy nagle woda w naszym stawie przed domem wsiąkła i ludzie szeptali między sobą, że spółka „Bizmut” zaczęła podkopywać naszą wieś w poszukiwaniu żył smolistego kruszcu. Pamiętam to dziwne uczucie pod podszewkami, kiedy wydawało mi się, że chodzę po „cienkim gruncie”.

Próby

W obejściu zajmowałem się rzeczami, marząc, pocąc się, a przede wszystkim mówiąc – ta niekończąca się mamrotanina, na którą składały się akcje dramatyczne, monologi i refleksje wygłaszane w powietrze. Rzeczy, zawarte w potoku słów, zmieniały się, zdradzały swą osobistą jakość.

Zdarzało się, że podczas pracy długo rozmawiałem z kawałkiem drewna – na przykład ze sztachetą w płocie – a ściślej, mówiłem tuż przy drewnie. Podchodziłem do drewna, mówiąc, dotykałem go dłońmi lub opierałem czoło o ścianę z desek. W dzieciństwie czułem, jakby moje ciało i język miały substancję drewna. Francis Ponge tworzy w *Le parti pris des choses* (1942) estetykę języka, która jest nauką o rzeczach i jednocześnie kosmogonią: „Cała tajemnica szczęścia osoby kontemplującej rzeczywistość polega na tym, że wzbrania się ona uznać za zło wnikanie rzeczy do swojego wnętrza”.

Moje wspomnienia o tym czasie to odgłosy, rzeczy i materiały. Mógłbym powiedzieć, że moje pochodzenie ulokowane było w świecie rzeczy dawnych, któremu właściwe były: nieużywane sianie, pamiętające jeszcze czasy właściciela majątku, dziesiątki uzd, chomąt, wędzideł, pejczy, brzeszczotów kos na ścianach, ostatni, powolny, zdychający koń, niezliczone mnóstwo małych i dużych lamp naftowych, sklepienie, piwnica z zapasami, dwadzieścia rodzajów ciast na stolnicach w regale, maselnica, piec kąpielowy, pierwsza elektryczna pompa wodna, pierwszy telewizor, tak zwana „skrzynia telewizyjna” o nazwie *Staßfurt*¹ ze stojącą na niej lampką w kształcie statku Kolumba, „Santa Marii”. W gablocie kilka promieniotwórczych minerałów, pięknych, błyszczących pamiątek, upominków przemycanych z głębokości, a niekiedy darowanych. Poza tym chropawa posadzka kamienna w kuchni gospodarczej, nad nią przymocowane do środkowej belki u sufitu haki, na których podciągano bydło rzeźne do patroszenia – wnętrzności na stole kuchennym. O trzeciej rano wypędzano z chlewu bydło na rzeź, pamiętam paniczny strach wśród zwierząt. Mężczyźni ciągnęli świnie za „świński postronek”, którym związane były jej pęciny. Zwierzę wiedziało wszystko, od samego początku, toteż walczyło o życie. Gdy rzeźnik przykładał do skroni pistolet ze sworzniem, ja kurczowo trzymałem między dwoma słupkami drgający zad zwierzęcia, a matka, trzymając emaliowaną miskę u wlotu pocisku, ubijała tryskającą krew, żeby nie zakrzepła. Potem jak zwykle wrzaski o to, dla kogo tym razem mózg, potem mózg na patelni, jego zapach, podczas gdy ubój toczył się dalej, od mięsa przez kiełbasę aż po gorzałkę i mycie gumowców wieczorem.

||

Nasze życie na pewno nie wyróżniało się ożywioną towarzyskością. Przy stole nikt nie musiał się uspokajać czy „przychodzić do siebie”. Byliśmy już pogrążeni

¹ Staßfurt – miejscowość w kraju związkowym Saksonia-Anhalt; w byłej NRD znana z największych zakładów produkujących telewizory marki Staßfurt.

w sobie. Rozmowy często sprawiały wrażenie, jakby nie były tak naprawdę przeznaczone do wymiany myśli. Słowo jakby z oddali przebijało się do uszu osoby zatopionej w swym znużeniu; było jak sygnał porozumiewawczy, wysyłany wzajemnie do siebie przez pływające pod wodą duże zwierzęta, chcące poinformować się wzajemnie o miejscu pobytu. W ten sposób nikt nigdy nie był tak naprawdę sam. Znużenie było kryjącym nas w sobie futerałem. Byliśmy sami ze sobą i z rzeczami, nie pojmując ich jednak przez to lepiej, byliśmy tylko podobnie jak one zamknięci, wyłączeni z toczącego się na powierzchni życia. Z tej „znużoności” (sformułowanie Goethego w *Werterze*) wzięła się – tak dziś mi się zdaje – szczególna i jakby wręcz naturalna zażyłość z rzeczami, odczucie ukrytego pokrewieństwa. Dualizm podmiotu i przedmiotu (stwarzający zarazem konieczny dystans między nimi), przyjmowany w oglądzie świata, w jego codziennym pojmowaniu, u mnie zdawał się od dzieciństwa zakłócony. Przypuszczam, że to właśnie przyczyniało się później do nieznośnego dla mnie czasem kłopotu, jaki sprawiało mi natychmiastowe przyjęcie założenia odrębności przedmiotu i z pozycji tego założenia mówienie lub pisanie o n i m. Nie czułem, żebym miał przewagę, jaką sugerowały mi istniejące pojęcia i nazwy danego przedmiotu. Także moja krótka kariera doktora literaturoznawstwa cierpiała z powodu tych założeń. Po ukończeniu studiów dwa lata spędziłem wyłącznie na próbach wyjaśnienia sobie samemu warunkowań mojej metody. Z trudem udało mi się skonstruować przedmiot badań. Jeszcze dziś, gdy o tym myślę, odnoszę wrażenie, jakbym wykonywał wówczas pracę wykopaliskową i odkrywał przed sobą miotacz pocisków-przedmiotów, wycelowanych prosto we mnie. W 1993 roku poddałem się. Podobnie jak Monsieur Teste Paula Valéry’ego miałem ochotę rozplynać się we śnie: „Sen snuje jakąś, wszystko jedno jakąś ideę dalej...”. Nie trwało długo, a to, co kiedyś było „moim przedmiotem”, przeminęło i znikło. Znużony i nieobecny postrzegałem w rzeczach coś, co poza ich określeniami i pojęciami wydawało mi się swojskie – można powiedzieć – z dawien dawna. Pozostało mi więc albo trudnić się rzemiosłem, którego nauczyłem się w młodości, i uczciwie dorobić się również owego znużenia, pozwalającego mi prawdopodobnie pozbyć się własnych problemów, albo wyruszyć na poszukiwanie języka, który sprostałby rozproszonym stanom mojej percepcji.

Kiedy zacząłem pisać, wyobraziłem sobie pewien rodzaj „słownika rozproszonego istnienia”. Stopniowo miała powstawać leksykalnie uporządkowana poetyka, wychodząca od „specyficznych nagromadzeń” takich słów, jak „nieobecność”, „znużenie” i „ciężkość”. Sporo notatek straciło w ciągu ostatnich 15 lat na znaczeniu, ale kilka fragmentów jest do dziś interesujących dla pracy pisarskiej:

N i e o b e c n o ś ć: Stany nieobecności w języku poezji – to była moja fascynacja. Nieobecność jako stan pożądany i szansa dla kontemplującego, by niejako się cofnąć i postrzegać rzeczy bez intencji, a nie przez pryzmat naszych gotowych definicji. Wyobrażenie stanu spokoju w pełnym tego słowa znaczeniu; wiersze powinny pogodzić się z owym momentem bezruchu, w którym udaje się pozostawić rzeczy i słowa nienaruszone, jak również samemu być wobec nich nieporuszono-

Próby

nym. Z tą utopią postrzegania wszystko jest powiązane, stosunek ruchu i bezruchu, jak na przykład próba doprowadzania zamaszystych ruchów w wierszu do ich groteskowego punktu kulminacyjnego, gdzie zamierają, by już w tej samej chwili uwolniło się d u ż o n i e o b e c n o ś c i.

C i ę ż k o ś ć: Teksty zmierzające do bycia materiałem, substancją, tworzywem, a tym samym nadające rzeczom wagi. Waga rzeczy rozumiana nie tylko jako ich właściwość, lecz również jako ich forma językowa, w takim sensie, że wypowiedzi odnoszą się do siebie wzajemnie pod wpływem działania siły pola grawitacyjnego. W pracy nad wierszem chodzi o to, by wynikającą z ciężaru powagę rzeczy wyczuwać i przedstawiać jako ich niedostrzegalną formę obcowania ze sobą.

Ponowoczesność ze swoją manią lekkości, szybkości, migotania i latania pracowała przede wszystkim nad dematerializacją wyobrażeń i takie też faworyzowała. W eseju Josepha Hanimanna *Vom Schweren. Ein geheimes Thema der Moderne* [O tym, co ciężkie. Tajemnica nowoczesności, Monachium 1999] znaleźć można myśl o innej, „drugiej” nowoczesności, która właśnie na nowo odkrywa od dawna pogardzaną ciężkość, czyli również to, co powolne, znużone, nieporęczne itd. jako jakość rzeczy i istnienia: „Z permanentnego semantycznego obiegu danych, możliwych do pobrania i zapisania, [dąży ona do] wyłączenia miejsc prostej materialności i ponownego utworzenia tym samym czegoś w rodzaju spoczywającej, milczącej obecności realnego bytu”.

Z pewnością nie jest możliwe całkowite bądź tylko częściowe utożsamienie istoty pisania z „egzystencjaliami”, takimi jak „nieobecność” i „ciężkość”. Nooteboom pisał o „amalgamacie fikcji i rzeczywistości”, którym od początku sami jesteśmy. Ale prawdopodobnie możemy opowiedzieć te różne historie o wpływach, okaleczeniach, wchłoniętych z życia substancjach, które potem ulatniają się z tekstów. To wszystko wyrabiało i formowało naszą morfologię, to tutaj destylarki rozpoczynają później pracę nad wierszem.

Gdyby wiersze mogły być „systemami nerwowymi pamięci” (Joachim Sartorius), sformułowaniem tym mógłbym oddać to, co próbowałem osiągnąć w kilku tekstach. Fakty, konkrety trafiają do tekstu jedynie jako środek, który pomaga zasilić aurę, względnie zbudować jej wrażliwą strukturę. To oznacza, że nic nie może pozostać w ścisłym sensie biograficzne. Nigdy nie chodzi o „rekonstrukcję”. Wczesny schemat doświadczenia nakazuje mi: rozmawiaj z rzeczami, omawiaj ich substancję. Znaczenie rzeczy nie tkwi w ich minionym realnym istnieniu; są one dla nas ważne, gdyż stanowią element naszego słyszenia bądź patrzenia, naszego odczuwania, które je ukształtowały. To pośrednicy i bezdroża prowadzące do wiersza. Towarzyszy im również to, co wcześniej, później czy nigdy nieprzeczytane, ten przez pracę „przepływający kanon” (C. Nooteboom), kryjące się pod nim rzemiosło i swoista dynamika denerwującej, mozolnej pracy nad tekstem. To wszystko razem tworzy skomplikowaną, labiryntową mechanikę, dzięki której wiersz powstaje z nieprzewidywalną wedłуг wszelkiego prawdopodobieństwa, ale ostatecznie absolutną koniecznością.

Kiedy teraz jeszcze raz wracam do stołu mojego dzieciństwa, przy którym siedzieliśmy, zagłębiając się w naszych znużeniach, to równie dobrze przypominam sobie te chwile, kiedy nie znajdowaliśmy spokoju. Gdy dziadek próbował przeciwstawiać się znużeniu i towarzyszącej mu nierzadko apatii, bólowi głowy, zawrotom, gdy chciał to wszystko z siebie strząsnąć, potrzebował do tego energii wyzwolonej w cholerycznym wybuchu. Początkiem takiego wybuchu bywało często już samo jedzenie. Jeszcze zanim dziadek skosztował odrobinę, już zaczynał wrzeszczeć coś w rodzaju: „za mało soli” albo: „za dużo soli”, a przy tym wymachiwał nożem wymierzonym w babcię, która siedziała po jego lewej stronie przy stole, na miejscu znajdującym się najbliżej kuchenki. Gdy wybuch eskalował, to znaczy dziadek nie był już w stanie się uspokoić, zapowiadał, że pójdzie i natychmiast się zabije. Brał z chlewu świński postronek, którego zamierzał w tym celu użyć. Coś takiego odbywało się dwa lub trzy razy do roku, w tym raz zawsze i nieodmiennie w święta Bożego Narodzenia. W pierwszy dzień świąt zdarzało się, że dziadek najpierw niszczył prezent od babci (kiedyś było to piękne, ciężkie biurko, które z wielkim trudem sam wywlókł pod drzwi na podwórze i tam porąbał na równiutkie polana), by potem – zgodnie z zapowiedzią – przystąpić do zabijania się. Wybierał w tym celu dąb, drzewo, które jego własny dziadek Eduard zasadził na zakończenie wojny niemiecko-francuskiej w 1871 roku jako dąb pokoju. Albo dziadek rzeczywiście zapominał, że dolne gałęzie tego olbrzymiego, rozłożystego drzewa od dawna już znajdowały się na niedostępnej wysokości, albo zbyt dobrze wiedział, że zbesztana przez niego żona, przy wsparciu całej rodziny, która zdenerwowana szła za nim niczym w procesji drogą do chlewu i od chlewu do drzewa, najpóźniej przy bramie wjazdowej, gdzie rósł dąb, przekona go, żeby się nie zabijał i lepiej wrócił z nimi wszystkimi do stołu. W przeciwieństwie do tego, czego się spodziewaliśmy, to babcia powiesiła się w 1973 roku, nie mówiąc nikomu ani słowa, starannie ukryta w najdalszym kącie poddasza.

III

Mamy zdjęcia pokazujące naszą rodzinę w ogrodzie lub we wsi, a na nich w tle wznoszący się – nadkład. Potem miejscowość całkiem znikła, zrównana z ziemią dla potrzeb górnictwa. Pozostał tylko dawny gościniec, który teraz, pośrodku szczyrego pola, wykonuje niezdefiniowane ruchy w lewo i w prawo. Dzisiaj mieści się tam największe radioaktywne składowisko szlamów w Europie. Nosi ono nazwę przepadłej wsi. Gdy wieje wiatr, w powietrzu unosi się pył zdmuchiwany z płaskowyzu hałd. Radioaktywne burze przestaniają niebo nad okolicznymi wsiami. Włącza się oświetlenie ulic. W takie dni nikt bez potrzeby nie wychodzi z domu. Ale mówi się, że drobny pył z hałd wnika przez szpary w oknach i drzwiach do domów, gdzie łączy się z ich własnym pyłem.

„Znużone wsie” – jakże przyjemnie brzmiący opis skutków niskich dawek nieustannego napromieniowania, na które nie ma lekarstwa i przeciw któremu nie zdołałbym wytoczyć ani jednego działła nawet w najbardziej bohaterskich bitwach

Próby

toczących się w mojej wyobraźni. Spośród górników zatrudnionych w kopalni uranu rzadko który żył dłużej niż sześćdziesiąt lat. Gdy przyjrzymy się uważniej prowincjom uranu we wschodnich Niemczech, na przykład wykazywanym już w latach osiemdziesiątych wysokim częstotliwościom występowania tam chorób krwi i raka u mieszkańców, dyskusja wokół transportu materiałów promieniotwórczych czy wokół „syndromu bałkańskiego” zaczyna jawić się w osobliwym świetle.

Zakład górniczy, który tymczasem przepoczwarzył się w firmę restrukturyzacyjną, zachował wprowadzony za czasów stalinowskiej administracji kryptonim „Bizmut”. W roku 2000 część scenerii hałd była elementem niemieckiej Wystawy Światowej „expo”. W 2007 roku w prowincji uranu zostanie otwarta Ogólnokrajowa Wystawa Ogrodnicza. W przeciwieństwie do ludzi rośliny u podnóża rodzinnych hałd rozwijają się zdumiewająco bujnie. Przyrodnicy donoszą o okazach, jakich nie obserwowano jeszcze na tych szerokościach.

Kto ponownie ma ochotę zobaczyć prowincję uranu, musi się pośpieszyć, gdyż już w tym roku mają zniknąć największe hałdy. Codziennie usuwa się 40 000 ton odpadów. Potem Ogólnokrajowa Wystawa Ogrodnicza przyłoży do rany swój dobry czarnoziem. Dzisiejszym zwiedzającym poleca się tak zwaną „ścieżkę rewitalizującą nr 5”, która na odcinku jedenastu kilometrów ma dla nich w zanadrzu rozmaite niespodzianki: z platformy widokowej, znajdującej się na skraju otworu pozostałego po kopalni odkrywkowej Lichtenberg, można zajrzeć setki metrów w głąb ziemi. Wzniesiono też oczywiście kopalnię na pokaz; prawdziwe sztolnie bowiem, ciągnące się pod ziemią na długości ponad tysiąca kilometrów, są zamknięte ze względu na promieniowanie. Tam, gdzie w roku 1666 odkryto pierwotne źródło Bad Ronneburg z promieniotwórczą wodą leczniczą, stoi dostępny dla zwiedzających oszklony pawilon. Źródło znikło jednakże wraz z kopalnią i mimo podnoszącej się wody gruntowej, widocznej w otworze po odkrywce, jeszcze się ponownie nie pojawiło.

Tymczasem wiadomo, że wszędzie tam, gdzie Indianie z plemienia Nawahów w Ameryce Północnej od stuleci układali święte obrazy z piasku, mielonej kukurydzy i rozartych kwiatów, w ziemi była ruda uranu. Święta ziemia, na której z pokolenia na pokolenie przekazywano ostrzeżenie przed niewidocznym niebezpieczeństwem, jest radioaktywna. Największa głębinowa kopalnia uranu na ziemi znajduje się na Mount-Taylor, świętej górze Nawahów.

W Black Hills w Południowej Dakocie kopalnie uranu niszczą święte miejsca Siuksów. Pokolenia tubylczych plemion, czy to Nawahów czy Siuksów, wędrując po kraju, wybrały właśnie te miejsca na zaklinalanie duchów. Dlaczego stan uniesienia, przeżywany w takich okolicach, miałby odnosić się do nas w mniejszym stopniu? Jedni tworzą mandale, drudzy – wiersze.

Przełożyła *Dorota Stroińska*

Seiler Terytorium znuzenia

Abstract

Lutz SEILER

The Territory of Lassitude

A prose description of a childhood spent in rural areas of eastern Thuringia, which were colloquially referred to as 'fatigued', due to their specific ambience triggered by uranium deposits located close thereto. Absence, lassitude and heaviness have impressed their stigma upon the author's childhood years – the states in which perception was active in the childhood; ones which later on were to exert their impacts like kindred media owing to which, as it seems to us, we can perceive the world in a most direct manner. And therefore, one might say, literary texts, poetological axioms are conceived out of them, ever since the first steps are made.